GŁOS

LITERACKI I SPOŁECZNY.

NIEDZIELNY BEZPŁATNY DODATEK DO „GŁOSU NARODU“.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG. | Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon nr. 309. | Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI

Nr. 17. Kraków, dnia 28. kwietnia. 1901.

Wiekopomny dzień

(wspomnienie o 3. maju).

„Wciąż się szamocę, szukając sposobu,
„Jakby nas zmężnić... wszystkie drogi mylne!
„A więc z pochodnią wstąpić chcę do grobu,
„Na jaw wygrzebię czyny podmogilne,
„Dawnych olbrzymów przed wami postawię“.

„Czyny podmogilne“ sławnych olbrzymów, naszych praojców, to nie wymarzone ideały, ale prawdziwa służba dla dobra Ojczyzny, to płonąca ogniem ofiar i poświęcenia pochodnia, to granitowe słupy, znaczące byt wolnego narodu, to wreszcie postrach przeciw sidłom i zdradom wrogów.

Takich „podmogilnych“ czynów w przeszłości naszej nie mało. Snują się one przez cały ciąg dziejów narodu, splatają się w piękny wieniec, piszą swą historyę krwią i mogiłami, sypią szańce przedmurza chrześciaństwa i wznoszą wielkość Ojczyzny do tej potęgi, w obec której klękać musi upokorzony Krzyżak, wróg nie jeden raz cofa się ze sromem, a zastępy rycerstwa naszego kruszą nie jeden raz hufce dziesięćkroć większe. „Czyny podmogilne“ to nasze cnoty zdrowe i narodowe, to Unia Lubelska, to walki Sobieskiego, to obrona Częstochowy, Konfederacya Barska, to Sejm czteroletni, to owa wielka, wiekopomna Konstytucya 3-go maja, która zabłysła słońcem odrodzenia i — zagasnąć nigdy nie może...

Konstytucya — niosła ocalenie Ojczyźnie, budowała potęgę niedającą się zburzyć, wołała o równość, wolność wszystkich stanów, oświatę kładła na pierwszem miejscu, skarb i wojsko pomnażała. Konstytucya ta — zwana „wspaniałą reformą, którą mądrość rządu polskiego uskuteczniła“ przecież, przez sprzysiężenie trzech potęg siły, została zdeptaną i w niwecz obróconą. Tak, wedle praw obowiązujących w państwach, do których my jako niewolnicy należymy, ustawy Konstytucyi 3-go maja nic nie znaczą, są one tylko aktem historycznym, napisanym na papierze. Tak mówią ci, którzy nam zabrali wolność, prawa, ziemię i szczęście. Ale serca nasze, nasze sumienie narodowe, nasze powinności moralne powiadają inaczej.

Uchwały Konstytucyi 3-go maja obowiązują nas moralnie i my powinniśmy wytężyć wszystkie nasze siły ku temu, aby je wypełnić najgorliwiej.

W roku 1823 w Wilnie, w gimnazyum, mały

Uroczystości tulońskie.



Prezydent Loubet na pokładzie włoskiego pancernika „Lepanto“.

Michaś Plater, uczeń 5-tej klasy, napisał dnia 3-go maja na tablicy:

„Niech żyje Konstytucya 3-go maja!“ a któryś z kolegów dopisał drobnem pismem:

„Lecz nie ma nikogo, ktoby się o nią upomniał!“

Słowa te, napisane ręką dzieci, dały początek do straszliwego prześladowania na Litwie. Dzieci poszły w sołdaty, szkoły zamknięto, Litwa cała łzami się zalała...

Znane to dzieje. Któż ich nie poznał?

I jakkolwiek wolno u nas napisać nawet nie jeden raz „Niech żyje Konstytucya 3-go maja“, zdaje się, można by dodawać z żalem słowa owego chłopczyny: „nie ma komu o nią się upomnieć...“

Konstytucya 3-go maja nie upadła, nie przestała nas Polaków obowiązywać, nie stała się tylko wspomnieniem, ale jest ustawą i prawem dla nas nadanem przez naród, wołający do odrodzenia.

Ustawa 3-go maja w jednem miejscu powiada: „Każdego szlachcica cnocie, obywatelstwu i honorowi świętość Konstytucyi i jej trwałość strzeżenia poruczamy, jako jedyną twierdzę Ojczyzny i swobód naszych“.

Słowa te mówią wiele. Świętość Konstytucyi, jej trwałość, zależy od naszej cnoty, obywatelskiego zrozumienia swych obowiązków i naszego honoru, który ma czuwać nad tem, „aby zbawienne prawa — zbawiły naród“. Idzie właśnie o to, abyśmy stwierdzali na każdym kroku, w każdym zawodzie, w każdem położeniu to, iż naszą godność narodową umiemy szanować, iż z czystem sercem i niesplamionem czołem sztandar orła białego nad sobą rozwinąć możemy, iż wielką Miłość Ojczyzny, chcemy na wielkich cnotach opierać. Starajmy się uczcić Miłość Ojczyzny życiem tak szlachetnem, aby w niem nawet wróg nasz nie znalazł nic do wyszydzenia, a wtedy cnota, obywatelstwo i honor nasz Konstytucyę trwale w życiu uchowają.

Ustawa 3-go maja w innem miejscu mówi:

„Lud rolniczy, z pod którego ręki płynie najobfitsze bogactw krajowych źródło, który najliczniejszą w narodzie stanowi ludność, a zatem najdzielniejszą kraju siłę, tak przez sprawiedliwość i obowiązki chrześciańskie, jak i przez własny interes dobrze zrozumiany, pod opiekę prawa i rządu krajowego przyjmujemy i ogłaszamy wolność dla wszystkich ludzi“.

Wolność ta, podówczas, dotyczyła zniesienia poddaństwa i niewolnictwa, tych dwóch ciężkich, przygniatających klasy niższe kamieni, które nieraz jeden krwawemi łzami były kąpane.

W dobie dzisiejszej, nie o zniesienie tamtej niewoli nam iść powinno, nam, którzy Konstytucyi żywotność mamy stwierdzać czynem, lecz powinniśmy zrozumieć, iż owa wolność oznacza równość wszystkich stanów i klas, że właściwie w obec Konstytucyi już klas nie ma, bo wszyscy są uznani dziećmi jednej Matki Ojczyzny, wszyscy mają jedne prawa, ale i obowiązki, jedne cele i trudy.

To też nie raz jeden, gdy tu lub tam widzimy dumę i pychę bezduszną, znajdujemy jeszcze zacofanie iście egipskich pojęć, iż jedni są wyżsi i lepsi, a drudzy niżsi i gorsi przez urodzenie lub stanowisko, mimowoli rwie się gorzkie pytanie:

— Czy ci ludzie kart historyi nigdy w ręku nie mieli?

Stanisław Małachowski, Marszałek Sejmu czteroletniego, który był duszą Konstytucyi, sam się pierwszy wpisał do księgi mieszczan warszawskich z r. 1791, pierwszy nadał włościanom wolność zupełną — on, wysoki urodzeniem i stanowiskiem, wyższy nadto cnotą, zasługą dla Ojczyzny, stanął w rzędzie wzgardzonych dotychczas mieszczan, ażeby okazać, iż Konstytucya różnice znosi.

Bo i nie ma ludzi z krwią błękitną lub szarą. Są ludzie szlachetni i ludzie nieuczciwi, są ludzie olbrzymy duchowe i karły nizkie, są ludzie zacni i prawi i ci zasługują na szacunek, a są pyszni i samolubni i ci godni poniżenia. Wartość człowieka stanowi jego życie moralne, obywatelskie, chrześciańskie, a nie liczba banknotów wartościowych w kieszeni, nie ilość sukien zawieszonych w szafie, ani szereg pokoi jego domu, ani białość rąk, próżnujących zawsze. Wszyscy są równi i w prawach i w obowiązkach.

Tu tkwi właśnie ziarno potęgi naszej narodowej, naszej wiary niezłomnej, iż wolność zdobyć możemy, bo tu mamy równe pole do pracy, równe drogi do wspinania się wyżej pod względem oświaty.

Konstytucya 3-go maja w innem miejscu powiada:

„Naród winien jest sobie samemu obronę od napaści i dla przestrzegania całości swojej Wszyscy przeto obywatele są obrońcami całości i swobód narodowych. Wojsko nic innego nie jest tylko wyciągnięta siła obronna i porządna z ogólnej siły narodu“.

„Skarb i wojsko! Skarb i wojsko!“ powtarzał raz po raz na każdem posiedzeniu Korsak, poseł wileński. Gdy Nalewski wniósł myśl, aby uchwalić 100,000 wojska, cała izba przyklasnęła temu projektowi. Jednak — wykonanie nie poszło łatwo. Ani skarb nie został pomnożony tak jak było trzeba, ani armia nie doszła do liczby projektowanej. I dlatego — przyszła niewola.

Skarb narodu trzeba pomnożyć dziś, aby naród mógł powstać, a skarbem nie zowią się nasze grosze... Są cenniejsze i droższe dary na skarb narodu, tylko najmniej o nie się troszczymy. Praca, oświata, zgoda, poświęcenie — to wszystko dary nad dary na dobro Ojczyzny, ale — kto je zbiera i daje?

A gdy niemożem stawiać armii wielkiej, uzbrojonej, wyćwiczonej, stawajmy murem, ramię obok ramienia, dłoń przy dłoni, nie w pyle bitw z kosami, ale w boju prac, które siłę wroga podkopią... Wszyscy w narodzie są obrońcami całości i swobód narodu, wszyscy stanowią armię, która musi czuwać nad zachowaniem Konstytucyi 3-go maja, ale nie wszyscy chcą o tem wiedzieć.

Jedni służą sobie, drudzy służą swej chciwości i pysze, inni próżniactwu i zazdrości, a wielu — śpi!... Choć gromy huczą, pioruny biją, ich to nie trwoży, nie budzi, im tak dobrze, wygodnie w ich samolubstwie, więc pocóż narażać się, niepokoić!?

Stokroć większe zadanie być armią z ducha, jak armią z bagnetów, wojskiem z cnoty, wiary i pracy, a nie z munduru, musztry i krwi chciwej, śmierci chciwej — dzikości. Stokroć większe zadanie być w szeregu armii z własnej woli, nie z musu, być szeregowcem dla idei, nie dla kariery i walczyć bez myśli o orderach...

Można być większą armią jak była armia Napoleona, a jednak nie mieć kos i pałaszów i można pokonywać wrogów krok za krokiem, a jednak nie sypać kurhanów mogilnych...

Wiekopomny dzień 3-go maja powinien być zrozumiany i odczuty przez wszystkich w narodzie, bo zaiste w zrozumieniu potęgi Konstytucyi 3-go maja leży przyszłość Ojczyzny i nasza...

Im szczerzej i goręcej chcemy uczcić rocznicę tego dnia wiekopomnego, tem serdeczniejszym uściskiem splećmy nasze dłonie i zestrzelmy myśli i uczucia w jedno ognisko.

Wolni, równi i niezachwiani w miłości wolności niech staną się wszyscy w około nas, a wtedy poznamy, iż ustawa Konstytucyi żyje i — do odrodzenia naród prowadzi!

Jadwiga z Z. S.

Stary dzwonnik.

(Ballada dziadowska)

W starej miasta dzielnicy, opuszczonej kaplicy
Stoi wieża dzwonnicy;
Lecz od latek już wiela, choćby była niedziela,
Nie gra dzwonów kapela.
Mrok tam włada ponury — zawieszone u góry
Pozrywały się sznury;
Rdza na dzwonach osiadła, pokruszyła wahadła,
Srebrne dźwięki wykradła.
Nieraz nocny płak ruszy szmery ciche w tej głuszy,
Dzwony wiszą bez duszy;
Nieraz, wzbite nad błonią, wichry górą pogonią,
Dzwony milczą, nie dzwonią.
Wśród wilgoci zapachu, którą wieje gląb gmachu,
Siedzą wróble na dachu;
Siedzą całe godziny, bo nie trwoży ptaszyny
Żaden odgłos z doliny.
Szczyt wieżycy drewniany, jak i każdy zrąb ściany,
Rożnem ptactwem usiany;
Z której zajrzałbyś strony, siedzą kawki i wrony,
W sznur żałobny spleciony.

14 **MATCE RZECZYPOSPOLITEJ.**

POWIEŚĆ MIESZCZAŃSKA.

Ze starych dokumentów wypisał LUDWIK STASIAK.

Ciąg dalszy.

Od chwili, gdy miasta polskie zatraciły swój niemiecki charakter, mieszczanin polski był żywiołem pracy i spokoju, żywiołem wielkiej i gorącej miłości do króla i Rzeczypospolitej, co zaś najosobliwsze, niepodobieństwem jest dowieść, aby mieszczaństwo serdeczną nienawiść jaką ku niemu pałano, równym afektem odpłacało. Jeśli zważymy, że prawie każdy polski król w większości ciemnych sejmikowych mas zawsze był w podejrzeniu, jeśli nie w serdecznej nienawiści, to zrozumiemy, że nienawidzeni i nienawidzący byli strojem i rozstrojem Rzeczypospolitej, że myśl polityczna walczyła tu z ciemnotą, która straszną naprawdę przyszłość Rzeczypospolitej gotowała. Nienawiść do mieszczaństwa doszła do granic śmieszności.... dość wspomnieć owo zapewnienie szlachty na sejmie w roku 1496, że „synowie szlachty bywają również uczeni jak synowie plebejuszów, a nawet po większej części są uczeńsi“... tę ustawę z roku 1620, która zakazywała plebejom używania jedwabiu, aksamitu i drogich futer „okrom lisich i innych podlejszych“.

Srodze żałowali I M Panowie Orszawscy i Jaściński i przeklinali dzień uchwalenia tej ustawy, bo w domach przy ulicy Rzeźnickiej i Różowej nie nie znaleźli okrom futer „lisich i innych podlejszych“. Woleliby zapewne, gdyby łyczkowie mieli sobole i nieco więcej gotówki. Przecież zapomogli się złupieniem mieszczaństwa, wydarciem im ostatniego grosza, gorycz zaś zawodu, że spolia marne były co do ilości i jakości, utopili w kuflach radzieckiej piwnicy, gdzie były wina wszelakie i miody stare. Przedniejsze ich gatunki zabrali do siebie na kwaterę, beczki zaś z siwuchą podpalili, wysoce się wybuchem beczek i pogorzelą domu kontentując. Poczem jęli szukać IM Pana Wojszbiłłę, który pracował w innej stronie miasta.

* * *

Z trzaskiem pali się dach domu, płomyki na gontach syczą jak węże, a ogromny stóg siana płonący pod niebo strzelającym językiem, wydaje szum podobny do płynącej wody. Czasem zahuczy coś pod obłokami, czasem nieznana moc wyrzuca zapalone wiechcie słomy, niosąc je jak rakiety ku niebu. Zieloniutkie liście syczą w płomieniach jakby się woda gotowała, a obsypane jabłkami gałęzie wyzłociła straszliwe łuna i krwawym pąsem oblała.

Z pomiędzy palących się belek wysunął się podgolony łeb jakiegoś człowieka, Z oczu patrzy mu zgroza, na twarzy maluje się wściekłość. To I M Pan Wojszbiłło, plądruje po pustych domach, to sławny rotmistrz napróżno rozbija stoły i komody mieszczańskie. Pustka i pustka. Widzi że uchodzi szybkim krokiem troje ludzi. Idą chyłkiem wśród zamków miasta, czając się przy płotach, szybując zakamarkami i spiesząc ciągle naprzód.

Jak piorun wpadł na nich rycerz.

— Dokąd łyki?

— Łaski o miłościwy panie.

— Co masz w kuble, łotrze?

— Dobytek nasz. Ulituj się. wszak płynie w tobie nasza krew.

— Ja nie chamskiej krwi. Oddaj to zaraz.

— Nie dam!

Wojszbiłło rzucił się na człowieka, który całą siłą trzymał zawiniątko, mocując się z olbrzymem. Wydarł mu je rycerz, rzucając człowiekiem jak snopkiem zboża o ziemię. Ale ten powstał, wyrwał kostur starszemu towarzyszowi i rzucił się na zbója.

— Złodzieju oddaj mi moją własność! I ogromnym zamachem chciał uderzyć go w głowę i ubezwładnić napastnika. Ale kij spłozł się po ręce rotmistrza, a ten jednym zamachem szablicy rozpłatał łeb przeciwnikowi.

I zbliżył się do pozostałych dwojga osób straszny krwią, która z głowy zabitego na twarz mu bluzła. Zobaczył starca prowadzącego prześliczną dziewczynę.

— A wy co za jedni? Podwika? Skądeś ty stary wziął taką dzieweczkę? No, no chodźże sikoro do mnie, chodź...

— Puść mi dziecko zbóju, puść mi dziecko! wołał starzec.

— Precz, bo w pysk dostaniesz.

— Ratunku! Pomocy! Ludzie! Ratunku! Przez bujną łąkę bierzy pędem Maciek Sroka. Na kilkadziesiąt kroków poznał, że krzywda się dzieje Kasi i jej ojcu, że żołnierz jakiś dziewczynę niewoli. Zakipiała w nim wściekłość, wszystka krew uderzyła do głowy, zleciał na Wojszbiłłę jak burza.

Ciężka jego dłoń spadła piorunem na wątrobianą twarz rycerza, który spoliczkowany zatoczył się wstecz i zachwiał na nogach.

Śmierć ci biedny Maćku, śmierć niechybna.

W blasku pożaru zabłyszczał brzeszczot szabliska, zarysowała się sylweta Wojszbiłły, gniewem ziejąca, wściekłością straszna. Przypadł do Maćka rotmistrz, całą siłą tnąc ciężkiem żelazem. Przesławna szabla, co setki głów ścięła, świsnęła w powietrzu jak cięciwa łuku, na której wiatr gwiżdże......

Patrzy rycerz, a przed nim niema Maćka ani jego trupa....

Jest on z tyłu dzierżąc w silnej dłoni prawicę Wojszbiłły... I jako gruzeł śniegu ścisnięty w ręce się rozłazi, tak rozlazły się stawy prawicy Wojszbiłły w olbrzymiej łapie Maćka...

Zawył z bolu rycerz i nawet nie słyszał szelestu, z jakim szabla jego odrzucona przez Maćka po dalekich gałęziach wierzbowych szybowała.

Przed rotmistrzem Wojszbiłłą stał Maciek Sroka, a wzrok jego iskry ciskał.

— Naplwałbym ci w twarz — aleś ty tego nie godzien, zdrajco własnych braci.

(D. c. n.)

Nic nie spędzi ich z szańca — jak paciorki różańca
Gzems obwiodły do krańca —
Nie zajęczą, zapłaczą, zdjęte trwogą, rozpaczą:
Dziób rozdziawią — i kraczą.
Codzień przy tym kościółku, przy dzwonnicy tej,
[w dołku,
Dziad siadywał na stołku,
Wykrojony do miary żupan jakiś miał szary,
Rówi ie, jak i on, stary.
Od lat wielu, codziennie tu przychodzi sumiennie
Dzień przesiedzieć kamiennie;
Gdy człek jaki usłużny da mu pieniądz jałmużny
Wnet go pyta: — „Czyś dłużny!“
I nie bierze, boć przecie, choć sam jeden na świecie
Ma grosz własny w kalecie
I te dzwony, na sznurze zawieszone gdzieś w górze,
Niby w jasnym lazurze.
Gdy się wicher rozdmucha i powieje wskroś ucha —
Dziad powstaje — i słucha...
Mniejsza z jakiej dmie strony, on wzrok trzyma
Pilnie patrzy na dzwony. [wzniesiony,
Lecz, gdy wichry przegonią, twarz mu wtedy mgły
Dzwony jego nie dzwonią... [słonią;
Ani w murach kościoła: — „Gloria!“ kapłan zawoła—
Cisza — pustka dokoła.
Ni kadzielnic mżą dymy, ani pieśni brzmią rymy:
— „Ciebie, Panie chwalimy!“
Milczy organ na chórach, znikli Święci w purpurach
Może siedzą w lazurach?...
Dziś o świętym Antonim mówi z żalem Hieronim,
Że zapomina o nim
A codziennie, tak szczerze, szeptał wszystkie pacierze,
I Zdrowaśki i Wierzę.
A kto świeczkę oprawiał i na ołtarz mu stawiał,
Litanją odmawiał?
Kto jesienną szarugą śpieszył księdzu z posługą,
Służył wiernie tak długo?...
Czy to chrzciny, czy śluby, ryczał jego głos gruby,
Ot, bez mała, jak z tuby —
Przy dzwonnicy, w kościele, lat przesłużył tak wiele,
Aż chram ujrzał w popiele!...
Ponad kościół nadbiegła chmura żółta, jak cegła,
Jak przestworze rozległa —
Wyrzuciła siarczysty jakiś piorun ognisty,
Później szumy i świsty...
I zachwiały się ściany, aż zajękły organy,
Aż dzwon krzyknął miedziany!
Jaką mocą i siłą to się wszystko zwaliło,
Kiedy było, jak było?...
Trudno mówić dziś o tem, bo rażony łoskotem
Sam się znalazł pod płotem.
Ale burzy tej siła dach kapliczki rozbiła,
Pieśni dzwonów stłumiła —
Życie poszło odłogiem, a on żył się tym progiem,
Z mszą, z dzwonami — i z Bogiem!...
Odtąd, codzień, przed świtem, gdy na niebie w mgły
Noc się spiera z błękitem: [zwitem
Idzie pustką ulicy do tej swojej kaplicy,
Do tej swojej dzwonnicy.
„Dzisiaj“ — szeptem coś baje... (Tak staremu
Idzie — patrzy... i staje — [się zdaje),
„Sygnaturka uderzy, jak się słusznie należy,
Później huknie dzwon z wieży.“
Ale słonko co chyżej płynie wyżej i wyżej,
Ponad mury, nad krzyże —
Kracze stado gawronów, wiatr polata z zagonów,
Lecz nie trąca nic dzwonów.
— „Niechno przyjdzie jedyna śpiewnych modłów
Gdy się nieszpór zaczyna — [godzina,
Kiedy spojrzy już dzionek na świat zmierzchów
[osłonek,
Wnet zadzwoni mój dzwonek.
Spływa słońce pogodnie, świecą zorze zachodnie,
Coraz ciszej i chłodniej;
Zgasł ostatni błysk słońca, sierp zabłysnął miesiąca,
Lecz nic dzwonów nie trąca.
—„Burzy trzeba!“—lecz burza, choć się z chmurzyn
[wynurza,
Gna liść tylko z podwórza.
Piorun zwija się żmiją, wichry gwiżdżą i wyją —
Ale dzwony nie biją.
Próżno czeka i słucha... — Aż nadeszła Kostucha,
By grzesznego wziąć ducha;
Chłodem śmierci powieje, zdmuchnie wszelką na-
[dzieję,
Z ludzkich snów się roześmieje.
— „Już ci o nic nie sporzyć!... Czas ci sen twój
Do trumnicy położyć — [umorzyć,
Wciąż się witam u płotu, abyś zbył się kłopotu
Jedną, zimną łzą potu,
Głupi stary dzwoniarzu!... Pusto na twym ołtarzu,
Wiatr dmucha w refektarzu...
Nie rozszerzaj powieki!... Świat cię czeka daleki —
Dzwon twój umilkł — na wieki —
Po co darmo się łudzić, próżną pracą się trudzić,
W pyły dmuchać — i budzić:
Znaj słów moich stateczność, praw niezłomność,
[konieczność,
Zmilknień dzwonów — na wieczność!“
Dziad się chyli na łoże, na plecione rogoże —
Wie, że śmierci nie zmoże...
Palcem w cichą dal mierzy, ku kaplicy, ku wieży...
I wyszepce; — „Uderzy!“

Kazimierz Gliński.

NA CZASIE.

Potrzebaby na niebieskiej poczcie »zareklamować« mówiąc po galicyjsku, wiosnę, bo zgubiła się kędyś po drodze i nie nadeszła dotąd na miejsce przeznaczenia.

Niby to coś się zieleni, niby to zaczyna być ciepło, dwie lub trzy godziny mamy złudzenie wiosny a potem wiatr dmuchnie i — musimy znowu ubierać ciepłe paltoty.

Najgorzej na tem powychodzili ci, co złudzeni paru pięknymi dniami w marcu, na skrzydłach nadziei pospieszyli w progi lombardu, by tam zdeponować zbyteczne, jak mniemali, zimowe szaty. Kwoty pobrane za palta etc. spoczęły częściowo w kieszeniach krawców pod postacią zadatków na wiosenne garnitury, częściowo poszły na różne cele, niemające przeważnie nic wspólnego z racyonalną gospodarką finansową i teraz, gdy Boreasz dmucha a Jupiter pluvius nie żałuje zimnego tuszu, setki trzęsących się i zbladłych od zimna warg klnie wiosnę-zwodnicę, na czem świat stoi.

Bo Polacy obok wielu innych cennych zalet odznaczają się także tem, że żadna nieprzyjemność nie spada na nich z ich własnej winy. Zawsze powodem złego jest przypadek, fatum, »los garbaty«, »psie szczęście«, »nieszczęśliwa gwiazda« itp. nieuchwytne, niewidzialne i niesprawdzalne przyczyny wszystkiego co się na świecie dzieje. Pijak przepije wszystko co miał: »nieszczęście chciało«, że wdał się z kolegami po kieliszku. Adwokat przegra na giełdzie depozyta klientów: »pech« chciał, że »kredyty« spadły wbrew wszelkim przewidywaniom. Pojedynkowicz dostanie po łbie lub po ręku: »urodził się pod nieszczęśliwą gwiazdą.« Defraudant......

To słowo wiedzie myśli moje w kierunku wschodnim, ku stolicy naszego galicyjskiego raiku, gdzie przed paru dniami rozegrał się znowu drugi akt jednego ze zwykłych lwowskich dramatów, których prologiem bywa niezdrowa żądza spekulacyi, pierwszym aktem różne macherki giełdowo-bankowo-naftowe, ostatnim zaś — kryminał lub (dość często niestety) ucieczka, albo też uwolnienie przez przysięgłych.

Lwów ma jakieś dziwne szczęście do takich zajść. Co parę miesięcy zdarzają się tam różne defraudacyjne historye o mniej lub więcej niewesołym społecznym lub nawet politycznym podkładzie. Obecnie znowu rozbiegła się stamtąd po całym kraju wiadomość o malwersacyach w pewnej instytucyi bankowej, wiadomość tem smutniejsza, że dotyczy osoby, noszącej suknie duchowne...

Złej woli i nikczemnej przewrotności by potrzeba na rzucanie z powodu błędów jednostki kalumnij na cały stan, do którego należy. Z drugiej wszakże strony jakże się oprzeć niewesołym refleksyom na myśl, że fatalna gorączka spekulacyjna zaraża nawet i takie sfery, które dotychczas w samem swojem powołaniu i działalności zdawały się posiadać silny puklerz przeciw atakom pokus wszelkiego rodzaju. Sam fakt odosobniony nie może niczego dowodzić; wszakże smutno, iż źli ludzie mogą znajdować w takich zajściach podatny materyał do ukucia broni przeciw niewygodnym sobie sferom i instytucyom społecznym. W ten sposób błąd jednego człowieka może pociągnąć za sobą cały łańcuch zgubnych konsekwencyj. *Das ist der Fluch der bösen That...*

Kiedy już mowa o Lwowie, nie mogę przemilczeć jeszcze jednego bakcyla choroby lub, jeśli kto woli, manii społecznej, która na lwowskiem łożysku mnoży się w niesłychany sposób.

Jest to »przecinek pojedynkowy«, grasujący głównie między młodzieżą lwowską.

Przyczyn jego rozrostu nie należy bynajmniej szukać w wrodzonem męstwie i wojowniczym temperamencie tamecznych młodych ludzi. Mania pojedynkowa, jak prawie każdy niepocieszający objaw społeczny, wynikła ze spaczenia i zwyrodnienia rzeczy z natury swej dobrych, a nawet godnych uznania. Sport szermierki jest przecież jedną z najpiękniejszych, najbardziej męskich a nawet najbardziej narodowych zabaw i kultywowanie go zasługuje na wszelką pochwałę.

Cóż stąd, skoro Polacy w niczem nie umieją utrzymać właściwej i niezbędnej miary! Piękna i rycerska zabawa stała się w rękach niedowarzonych młokosów środkiem do wywoływania awantur i zdobywania sobie wawrzynów wątpliwego zresztą bohaterstwa. Z nieszkodliwej manii szermierczej urodziła się szkodliwa mania pojedynków, śmieszny nałóg, prowadzący do zaszczepiania między młodzieżą pustego zawadyactwa i t. zw. »Renommisterei«, kwiatów burszowskiej kultury. Zakwitły też one bujnie na polskiej grzędzie, odznaczającej się, jak wiadomo, taką plennością, iż najgorsze nasienie wydaje na niej plon stokrotny.

Dopóki liczne szkoły i kluby szermierki we Lwowie nie doszły jeszcze ani do obecnej ilości, ani do takiego jak dziś rozwoju, dopóty sport pozostał sportem. Z chwilą wszakże, gdy lwowskie »salles d'armes« poczęły wypuszczać na świat coraz to nowe falangi doskonałych szermierzy, pojedynki zaczęły się mnożyć w zastraszający sposób. Co trzeci akademik we Lwowie bije się na pałasze, co piąty bije się dobrze, lecz może co dwudziesty zaledwie potrafi wyrobić w sobie przekonanie, iż »assaut« w maskach i rękawicach jest znacznie lepszym sposobem wypróbowania swej umiejętności szermierczej, niż »gonienie na ostre« czyli pojedynek, w którym najczęściej nieuk, »Naturfechter«, pobija nawet dobrego szermierza. Ale przeważna większość młodych adeptów szabli ma sobie za punkt honoru przejść co rychlej próbę, w swojem mniemaniu, ogniową. Lada spojrzenie, lada słówko lub nawet udepnięcie w odcisk wystarcza do wprawienia w ruch całej maszyneryi »panów czarno ubranych«, którzy z bardzo poważnemi minami radzą nad czasem, miejscem i warunkami spotkania, spisują protokoły, zamawiają lekarzy, dają ostrzyć pałasze, słowem, inscenizują całą szopkę, dumni, że im właśnie ten zaszczytny urząd dostał się w udziale.

Wreszcie nadchodzi upragniony dzień, spotkanie się odbywa, a zwykłym jego wynikiem jest pokaleczenie ...dobrego szermierza. Gorszy, lub nawet zupełnie nieuczony wychodzi bardzo często bez szwanku: w pojedynkach jest to rzeczą całkiem zwyczajną. Ale pobity nie traci kontenansu, przeciwnie, z dumą obnosi po mieście jedwabny temblak lub gazowy bandaż na głowie, rosnąc, we własnem przekonaniu, najmniej o trzy piędzie. »Bił się« ergo ma już patent na bohatera.

Wykazywanie całej śmieszności i fanfaronady takiego postępowania jest zbytecznem. Żałować tylko należy, iż głupia, burszowska mania pojedynków tak się zdołała rozkrzewić między polską młodzieżą. Każdy z tych młodych ludzi wie zresztą, iż pojedynek jest jednym z największych nonsensów wszechświata, żaden jednak nie chce pojąć, że gdy jeden człowiek nazwie drugiego głupcem, to po pojedynku wywołanym tą zniewagą, będzie już na świecie dwóch głupich.

Pertinax.

J. RICARD

RĘKA.

Przewodniczący towarzystwa lekarskiego w Bostonie, prof. Waltcott otworzył posiedzenie w bardzo uroczysty sposób.

Po przeczytaniu protokółu z ostatnich obrad zwrócił się do uczonego zebrania i rzekł co następuje:

„Moi panowie! Ku najwyższemu swemu ubolewaniu muszę wam oznajmić, że kolega nasz, Abraham Rees, rozstał się z tym światem...

„Odkrycia jakie zawdzięczamy jego geniuszowi, mnogość ścisłych doświadczeń, z których wyciągał tak głębokie wnioski, wysokie znaczenie jego studyów, które wiedzę całego świata w niejednym punkcie zdołały uzupełnić, olbrzymie usługi, oddane przezeń Stanom Zjednoczonym, czynią jego śmierć wielką stratą zarówno dla świata uczonego, jakoteż dla publiczności, która do tego sumiennego i zręcznego lekarza tak wielkie miała zaufanie...

„Zanim wszakże na znak żałoby odroczymy nasze posiedzenie, muszę panom przeczytać list, nadesłany mi przez naszego, właśnie zmarłego przyjaciela i kolegę jeszcze w dniu wczorajszym. Abraham Rees przysłał mi go z poleceniem otwarcia i przeczytania dopiero na posiedzeniu“.

Uczone zebranie nie mogło oprzeć się wzruszeniu. Dr. Rees był człowiekiem w wieku lat około 50, o miłem obejściu i ujmujących manierach. Dobroć jego i łagodność kazała nawet najzazdrośniejszym kolegom zapominać o rychłych a wspaniałych sukcesach, które towarzyszyły jego karyerze od początku aż do końca. Dzięki temu powodzeniu, Rees cieszył się nietylko opinią znakomitego lekarza lecz i bardzo bogatego człowieka.

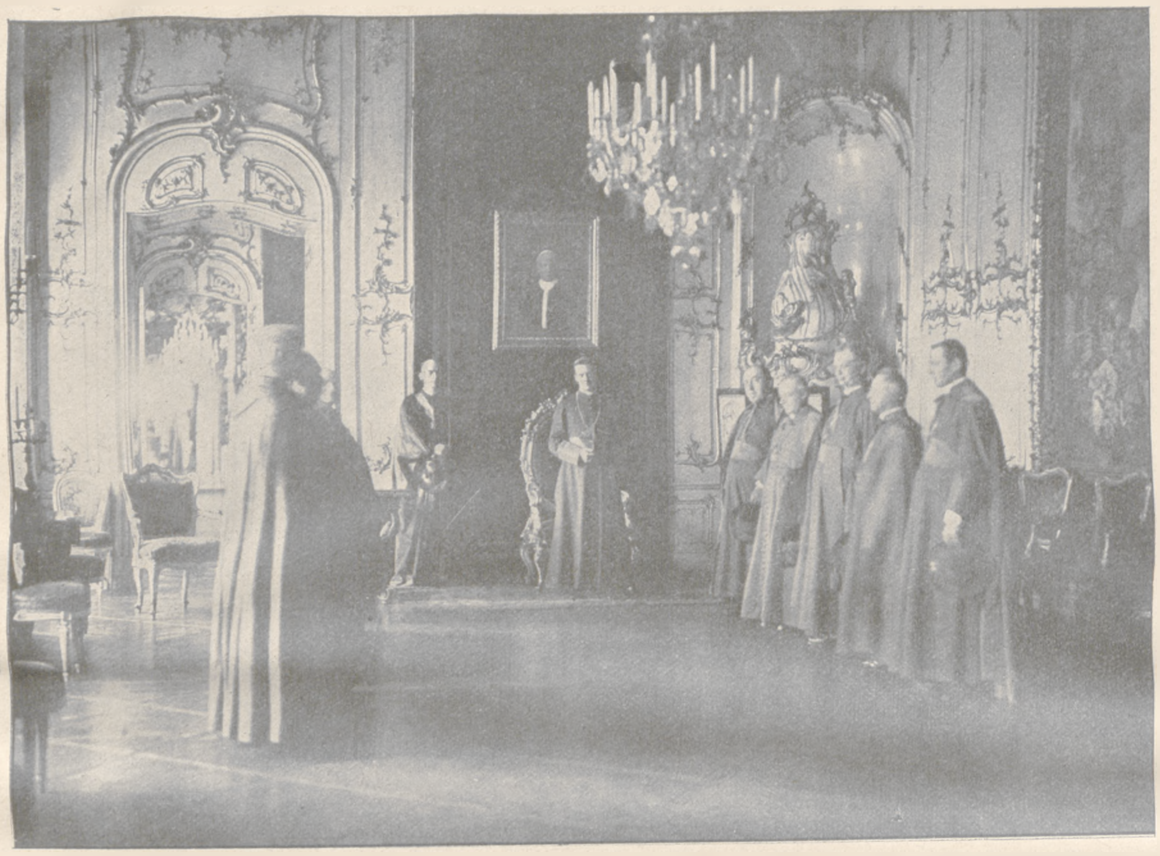
Czystym, jasnem, lecz nieco suchym głosem rozpoczął profesor Waltcott czytanie otrzymanego listu w następujące słowa:

„Kochany Prezydencie!

Za godzinę przestanę istnieć. Zważywszy, iż zniknięcie moje z listy żyjących mogłoby może pozostać niewyjaśnionem, a wiem z własnego doświadczenia, że podobny czyn wiedzie zawsze do najprzeciwniejszych a bardzo dwuznacznych domysłów, przeto podaję Panu i moim kolegom dobrowolnie powód swej śmierci.

W ogóle uczuwam potrzebę opowiedzenia pewnej swojej przygody, potrzebę obserwowaną już tak często u zbrodniarzy, którzy powierzają tajemnicę swojej zbrodni pierwszemu lepszemu

Nowi kardynałowie.



Arcybiskup praski Skrbenski w otoczeniu kapituły.

człowiekowi, chcąc za każdą cenę pozbyć się nieznośnej myśli. Zaraz jednakże muszę zauważyć, iż moja afera nie ma nic wspólnego z wyrzutami sumienia.

Posłuchajcie jej zatem. Temu dwa lata rozpoczynałem swoją pracę o chorobach rdzenia pacierzowego... Nie skończyłbym jej nigdy, nawet w takim razie, gdybym zamiast tych trzech kwadransów życia jakie mi jeszcze pozostają, miał przed sobą jeszcze lat dwieście...

Celem poczynienia pewnych doświadczeń, otrzymałem od prezydenta sądu zezwolenie na asystowanie przy najbliższej egzekucyi i natychmiastowe podjęcie autopsyi. Dwunastego kwietnia odbyła się ta egzekucya.

W tem miejscu muszę dodać, że od dwóch lat nie mogę usłyszeć tej daty, przeczytać jej na afiszu lub w jakimś kalendarzu, aby natychmiast nie doznać wstrząśnienia takiego, jakie uczuwa się przy zetknięciu z prądem elektrycznym. Dwunasty kwietnia! Pisząc te dwa słowa doznaję również tego samego uczucia. Dwunasty kwietnia! Za trzy kwadranse nadejdzie właśnie dwunasty kwietnia.

Skazanym, którego miano tracić, był Tom Lind, majtek, morderca dwóch swoich kolegów.

Cóż to ma zresztą wspólnego z całą historyą? Mniejsza o to czy był winny, czy niewinny. Mógł zamordować jednego człowieka, nie dwóch, mógł sobie być całkiem niewinnym — choć tak nie było, gdyż w śledztwie przyznał się do wszystkiego, odwołując te zeznania przy rozprawie głównej, lecz jak powtarzam, to nie było moją rzeczą. Zresztą, powtarzam to z naciskiem, nie wierzyłem nigdy w omyłki sądowe.

Tom Lind był winnym, to rzecz pewna!

Stałem na podwyższeniu obok ruchomej deski, którą się wyciąga przy naszych egzekucyach z pod stóp skazańca, po założeniu mu stryczka na szyję.

Wszyscy wiecie, do jakiego stopnia obserwacye w celach naukowych absorbują człowieka. Nie zdziwię was przeto zapewnieniem, iż nie byłem bardziej wzruszonym jak wtedy, kiedym np. stał w szpitalu u łoża chorego przed ważną operacyą. Często myślałem później o tem, jakim był stan mojego umysłu? Znajdowałem się w podnieceniu pewnego szczególnego rodzaju, trwodze, że nie będę mógł przeprowadzić do końca moich badań.

Toma Lind wprowadzono na podworzec więzienny. Był to człowiek olbrzymiej siły, więc ręce skrępowano mu na plecach. Mimo to, w chwili gdy mu wyciągano deskę w pod nóg, szarpnął się tak silnie, że lewa ręka znalazła się wolną.

W jednej chwili, z szybkością niemal niepodobną do wiary chwycił Lind za stryczek i zawisł na nim utrzymując ciężar swego ciała na lewej ręce; wskutek tego fatalna pętla nie mogła zacisnąć gardła.

Widzowie, obecni przy egzekucyi poczęli zdradzać pewien niepokój, lecz kat wydawał już szybko swoje rozkazy. Dwóch pachołków uwiesiło się u nóg skazańca, lecz to nie wiele pomogło. Siłacz potrafił unieść i ich na jednej ręce!

Wtedy, jak sobie doskonale przypominam, wśród ciszy, przerywanej tylko ciężkim oddechem tłumu, niby sapaniem olbrzyma, dał się słyszeć głos jakiś:

Nowi kardynałowie.



Jan Kniaź z Kozielska Puzyna, ks. Biskup krakowski.

— A puśćież go raz! Dość się chyba namęczył, aby być ułaskawionym!

Pachołkowie usiłowali tymczasem pociągnąć delikwenta na dół, a kat bił go po palcach jakimś kijem, chcąc zmusić do puszczenia stryczka. Tłum zdjęty zgrozą, począł wydawać coraz to głośniejsze okrzyki, mnie zaś ogarnęła jakaś dziwna trwoga, że... utracę sposobność do robienia doświadczeń...

W obliczu śmierci przysięgam że tak było. Możecie to nazwać zboczeniem umysłowem, nienormalnym stanem ducha, może nawet zwyrodnieniem, ale — tak było. Obawiałem się, że skazaniec zostanie jakimś sposobem zwolniony od kary śmierci, że sędziowie, stojący obok, zlitują się nad nim, słowem, że stanie się coś, co mnie pozbawi doświadczenia.

W jednej chwili dałem znak katowi, by przestał bić delikwenta kijem po ręku, ująłem za lancet przygotowany do sekcyi i szybkim ruchem podciąłem Lindowi rękę parę centymetrów nad przegubem. Lancet przeciął żyły, palce, nie idąc już za wolą skazańca otworzyły się i ciało opadło w dół całym ciężarem.

Dopiero potem przypomniałem sobie, że tłum stojący o jakie 20 kroków, wydał w tej chwili straszliwy, ogłuszający ryk, lecz wtedy nic nie słyszałem, nic zupełnie. Cała myśl moja zajęta była tem, że za chwilę będę miał robić swoje doświadczenia.

Przez cały miesiąc po straceniu Linda pracowałem bardzo wiele. Przebiegając myślą całą moją karyerę, nie mogę sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek indziej mój umysł był tak jasny i zdolny do pracy. Był to piękny, wspaniały okres czasu, ostatnie piękne chwile mojego życia.

Odbyłem następnie małą podróż, w ciągu której począłem nagle wątpić o prawdziwości niektórych swoich spostrzeżeń. Wywiązało się stąd dziwne wzburzenie, oddziaływujące w nader wyraźny sposób na krążenie krwi. Zacząłem źle trawić, źle sypiać i skonstatowałem wreszcie na sobie ogólne wyczerpanie i znużenie. Mimo to myślałem o mojem dziele. Obawa, że stawiałem dziwaczne hipotezy i uznawałem niektóre fakty za pewniki, bez należytego ich skontrolowania przybrała wreszcie takie rozmiary, że opuściłem gościnny dom, gdzie mnie przyjmowano, i wróciłem do siebie, aby rozpocząć na nowo całą pracę, która mi się zdawała całkiem chybioną.

I tutaj rozpoczyna się moja właściwa historya.

Zaledwie, przybywszy do domu, usiadłem do pracy w moim gabinecie, z radością spostrzegłem, że wszystko co mnie napawało obawą o los i wartość mojego dzieła — było poprostu przywidzeniem, igraszką rozhukanych nerwów. Zarówno dyspozycya moich badań jak i uszeregowanie faktów i wnioski z nich wyciągane, były jasne, logiczne i dobre. Owładnęło mną to prawdziwe zadowolenie, które jest najpiękniejszą nagrodą naszych trudów, a które zna każdy z was, moi panowie. Nagle......

(W tej chwili musiałem przestać pisać. Zaraz usłyszycie dlaczego).

Nagle moja lewa dłoń, którą przytrzymywałem papier, robiąc notatki, zamknęła się s a m a bez mojej woli; zwarł ją kurcz tak silny, że paznokcie (były wówczas bardzo długie, obecnie przycinam je krótko) weszły w ciało; krew trysnęła czterema strumieniami.

Nowi kardynałowie.



Wręczenie „zucchetta" arcybiskupowi Skrbenskiemu przez papieskiego gwardzistę, hr. Salimei.

Pierwszy raz w mojem życiu zdarzyło się, że mając przed sobą zjawisko fizyczne, nie zacząłem dociekać jego powodu. Od tej chwili przestałem w ogólności szukać wyjaśnienia jakiegokolwiek zjawiska.

Wszystko co czyniłem by przezwyciężyć kurcz, było daremne. Nie mogłem otworzyć mej lewej ręki — uważajcie dobrze moi panowie — lewej ręki, która zacisnęła się z taką siłą, że czułem jak mięśnie w ramieniu drgały i kurczyły się pod naciskiem.

Stan taki trwał godzinę. W skutek użycia silnych narkotyków zapadłem następnie w stan jakiegoś półletargu, w którym dłoń się otworzyła. Około 11-tej przed południem obudziłem się przy biurku. Lewa moja ręka leżała na płycie. Po chwili przypomniałem sobie to co się zdarzyło ubiegłej nocy i spostrzegłem na papierze czerwoną plamę.

To krew, płynąca z dłoni rozdartej paznokciami utworzyła niewielką kałużę.

Zemdlałem, a przyszedłszy znów do przytomności, poczułem odrazu, że stan mój jest wprost okropny.

Pocóż wszakże mam się nad tem rozwodzić? Panowie zrozumieliście o co mi idzie, nieprawdaż?

Odtąd moja ręka, moja lewa ręka zamykała się co chwila bez żadnej przyczyny ze straszliwą siłą. Napady kurczu były coraz dłuższe i coraz okropniejsze.

Na ścianach, na ulicy, na meblach, na twarzach ludzi, którzy ze sobą mówią, widzę wielką, silną, zaciśniętą rękę, która przecięta paskiem krwi — otwiera się.

I ta ręka — uważajcie, panowie — ta ręka żyje na mojem lewem ramieniu. Kurczy się tak, jak się tamta kurczyła, nie, tak jak ona sama się kurczyła, będąc jeszcze na ramieniu Toma Linda.

Tak żyję od dwóch lat. Sądzę, że mam prawo do nazwy mężczyzny, lecz tego znieść nie mogę.

Żegnam was moi panowie!

Abraham Rees.

Prezydent złożył list i dodał:

„Muszę jeszcze panów uwiadomić, że nasz kolega został dziś rano znaleziony w swoim gabinecie, gdzie wisiał na haku od lampy. Lancetem, który leżał na ziemi u stóp jego zadał sobie głębokie cięcie powyżej przegubu u lewej ręki.

„Panowie! Mam zaszczyt zamknąć dzisiejsze posiedzenie.“

Nowi członkowie Izby panów.



Jarosław Vrchlicky, (Dr. Emil Frida).

Uroczystości tulońskie.



Loubet na grobie Gambetty w Nicei.

Kazimierz Władysław Kumaniecki

FATALIZM

w „Lilli Wenedzie“ Słowackiego.

„Ja z Polski dawnej tworzę fantastyczną legendę, z ciszy wiekowej wydobywam chóry prorockie“ — tak Słowacki pisze do Krasińskiego w przedmowie do Balladyny. Kiedy Mickiewicz w Wallenrodzie i w potężnych słowach Improwizacyi Konrada wylał to, co naród czuł po strasznych ciosach historyi, kiedy Krasiński poszedł dalej i pragnął przedrzeć zasłonę przyszłości, Słowacki cofnął się wstecz, w czasy zamierzchłej, pogańskiej Polski i tam szukał treści dla swej wyobraźni.

Jakkolwiek „Lilla Weneda“ chronologicznie jest drugą w tym cyklu, to jednak ze względu na treść swoją stoi na jego czele. „Lilla Weneda“ — to tragiczna walka dwu plemion i w tej walce tragicznej to najtragiczniejsza chwila, bo to nie jedna z nowoczesnych wojen, kończących się zapłaceniem wojennej kontrybucyi lub wydarciem szmatu ziemi, to już nawet nie walka jedna z pierwszych, gdzie po przegranej zostaje nadzieja, że może następną bitwę się wygra, nie, kwestyą tego boju jest Hamletowskie pytanie: „Być, albo nie być!“

Gdy się patrzy na ten bój autochtonów — Wenedów z najezdnikami — Lechami, czuje się sympatyę dla pierwszych, a uczucie pogardy, czy wstrętu dla drugich i mimowoli nasuwa się na myśl pytanie: Czemu Wenedzi giną? Wszak sprawiedliwość i słuszność sprawy jest po ich stronie! Tak, ale ileż to razy zasada: Siła przed prawem! odniosła już zwycięstwo nad sumieniem i prawdą! Giną, bo ich może zamało, a i „nec Hercules contra plures“? Giną, bo może zasłabi? Ale nie, tragedya mówi coś innego: Lech i jego rycerze — to jakieś karłowate plemię; Gwinona wyrzuca mężowi (I_2):

„Dwa razy przez tę naturę kobiecą
Straciłeś kraje już podbite prawie;
Rycerzy ledwo ci zostaje garstka....“

I z szyderską ironią pyta go dalej. „Cóż moja frygo z rozpalonej stali.“ Podobnie z pogardą mówi o nich Polelum na stosie (V_3):

„...... Boże, patrzaj z nieba
Na tych dwóch ludzi*) przed stosem Weneda
Konającego, patrzaj na tych ludzi
I pomyśl, jakim ty dajesz stworzeniom
Chwilę tryumfu i urągowiska?“

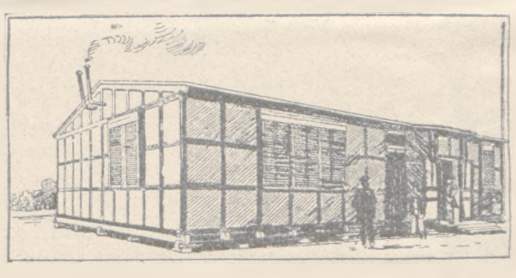
Europa w Chinach.



Generał pruski Schwarzhoff,
który zginął podczas pożaru pałacu cesarskiego w Pekinie.

A Wenedzi?, Lech mówi o Lelum i Polelum: „Że ja maleńki, to on mną pogardza...“ albo „Gwinono, patrzaj jaki to lud rosły.“ Zresztą Lechitów tylko „garstka“, a Wenedów lud cały zwołany do boju i mimo to ginie doszczętnie.... Ktoś mógłby odpowiedzieć na to samą esencyą idei tragedyi, że Wenedowie giną, bo nie mają w sobie żywotnej siły, ale przecież poeta bynajmniej nie musiał ich takimi stworzyć, do czegoś takiego nie zobowiązywała go żadna historyczna prawda. Jeżeli Wenedzi znaleźli w sobie dość siły, aby poledz jak jeden mąż za wolność i ojczyznę, to tembardziej mogli się byli zdobyć na taki hart ducha, aby zwalczyć nikłego wroga. Ten ostatni z Wenedów, nic nie chcący przyjąć z rąk wroga, ma tyle w sobie majestatu własnej godności, że chyba tylko takim, jak on.

Europa w Chinach.



Domek hr. Waldersee w Pekinie.

a więc tylko jego współplemieńcom, należała się w walce palma zwycięstwa. Wenedzi nie mogli zwyciężyć, bo się nie doczekali dźwięku królewskiej arfy.., Lecz czemu dopiero owa harfa miała wlać w tych bezdusznych bojowników zapał i siłę, których im brakło w rozstrzygającej chwili? Zresztą łzy ślepego starca, który zamiast arfy dotknął się zimnych zwłok ukochanej córki, powinny były ten lud zagrzać do boju, bo — jak to prof. Małecki ślicznie mówi w swej monografii o Słowackim — „jest to rzeczywiście pieśń, zdolna i kamienie do zemsty i życia poruszyć.“

A więc jakieś nieubłagane Fatum sprzysięgło się na biednych Wenedów, każe im walczyć bez wiary w siebie, a z wiarą w słuszność swej sprawy i nakoniec ginąć „bez zmartwychpowstania“. Złowrogie słowa Rozy Wenedy:

Przekleństwo, przekleństwo, przekleństwo!
Ojczyzna nasza kona — i na wieki
Widzę umarłą....
Na ziemi i niebie
Lud nasz przeklęty — o biada nam, biada!“

przesiąkają atmosferę w Lilli, wiszą nad nią od początku do końca.

Ten jakiś ślepy fatalizm — to zapewne wpływ greckiej tragedyi. Powyższe przypuszczenie jest tem pewniejsze, że sam poeta mówi w przedmowie, iż „wziął półposągową formę Eurypidesa i rzucił w nią wypadki, wyrwane z najdawniejszych krańców przeszłości.“ Poeta, każąc się na końcu tragedyi zjawić Bogarodzicy nad tronem niegdyś Derwida, zda się wprowadzać ową nieubłagalną „ἀνάγκη“ w chrześcijańskie pojęcia. Bogarodzica zjawieniem się swojem nad trupami Wenedów niejako potwierdza, że po ich stronie była słuszność. Dlaczegoż im zatem nie pomogła? Czy i ona przeciw Fatum „nic nie może“, jak niegdyś yuno lub Minerwa?

Szujski przy sposobności wydania dramatów Ajschyla w dokonanym przez siebie przekładnie pisze, że „idea zemsty identyfikuje sie z ideą spra-

*) sc. Lech i św. Gwalbert.

wiedliwości, idzie przez pokolenia, dotyka i dosięga każdego, kto winny." I tak Edypa Sofoklesowego spotyka kara za to, że wiedząc o wyroczni, wdawał się w walkę, że się żenił, a wreszcie za opor, iż mimo zaklęć Jokasty czynił dalsze poszukiwanie co do swego pochodzenia. W dramacie Słowackiego jest to samo. Ręka złowrogiego Fatum dosięga Wenedów za karę. Winą ich bowiem jest owa słabość ducha, każąca im oczekiwać dopiero dźwięku arfy Derwida; winą ich jest, że przekonanie w słuszność sprawy nie pobudza ich dostatecznie do walki i zwycięstwa nad mniejszym liczebnie i moralnie wrogiem. Wszystkie zalety i cnoty straciły na wartości, gdy brakło siły ducha, wytrwałości, ufności i wiary we własne siły. I Boga-rodzica nie mogła pospieszyć z pomocą tym, którzy nie mieli „męstwa" ewangelicznego pierwszych męczenników.

A teraz jeszcze jedno: Szujski, pisząc o zemście według pojęcia starożytnych, tak się o niej wyraża: „Odwet jest dozwolony i święty. Ale przez dziwną sprzeczność, która najjawniej pokazuje to rozłamanie religii, jej niekonsekwentność, pochodzącą ze skrzywienia początkowych prawd objawionych, mściciel, zesłany wolą Boga, mający za sobą Boskie słowo odwetu, podlega prawu natury: Nie zabijaj matki swojej! i Erinye wstają z trupa zmarłej...." Prawdę tę stwierdzają liczne przykłady z helleńskiej poezyi. Czy więc poeta, chcąc być konsekwentny, mógł wierzyć w jakiekolwiek zwycięstwo owego „mściciela", którego miała porodzić Roza, zapłodniona prochami ojców?

Imieniny stryja Karola.

(Gawęda według pamiętnika.)

(Ciąg dalszy).

Do śniadania zasiadło w południe kilkadziesiąt osób. Pogoda była słoneczne od rana, mróz lekki, humory dobre, imieniny zapowiadały się znakomicie. Na wieczór miały przybyć te sąsiedztwa, z któremi wiązały stryja tylko towarzyskie, a nie przyjacielskie stosunki. Spodziewano się, że do mazura stanie par kilkanaście. Muzyka z Sanoka właśnie co zjechała: stary Mordko, wirtuoz na basetli i czterech jego artystów od skrzypiec i jakiejś piszczałki. Radowałem się niezmiernie, bo wiedziałem, że będzie Halka z Jurowiec, a serce mi pukało do jej czarnych ocząt.

Mordko zaczął stroić instrumenty w sieni, a równocześnie z lekka zadudniały szyby w oknach i słońce schowało się za czarną firankę chmury, która niewiedzieć skąd, na niebie się rozpięła. Z małej firanki, roztoczyła się płachta szeroka, coraz szersza, brudna i robi się ciemno, szyby silniej brzęczą, pierwszy gwizd wiatru doleciał do uszu. Po gwizdach, syczenie rozbudzonej gadziny, wielkiej, jak horyzont, strasznej, najeżonej już śnieżycą.

Nagle wzięły się w tany: wichura ze śnieżycą i takie zataczały młyńce, że ściany trzeszczały w starym dworze, a Mordko przygrywać nie potrzebował do tańca, bo wichura sama sobie tak grała, że Sty Karol słyszał tę muzykę w niebie, dyabli w piekle przy niej tańcowali, a nam się zdało i starym i młodym, że to koniec świata. Zamiast zjadać specyały Macieja, zaczęły kobiety odmawiać litanię, a mężczyźni udawali tylko, że się owej z piekła wyrwanej burzy nie boją.

A było tego harmideru z godzinę. Pognała burza dalej, a za nią przyszła cicha zadymka, zawaliła śniegu w pas i poniosła resztki w ślad za wichurą. Znowu cicho, znowu słońce, znowu wesoło, a tem weselej, że przez godzinę było tak strasznie. Rozgwarzyło się towarzystwo, a chociaż to było śniadanie, goście z niecierpliwym językiem, zaczęli toasty wznosić. Mordko wygrywał w sieni fanfary.

Ale stryj Karol niecierpliwić się zaczął i nie spokojnie na zegarek spoglądał. Już było ku zmierzchowi, a Wacka nie było widać. Wacek, to był syn najstarszy stryja Karola; stryj mu oddał już na własność ładny majątek w górach pod Chwaniowem. Wacek miał lat dwadzieścia sześć, zuch był chłopak, ale żenić się jakoś nie kwapił. Wnet i gości dziwić zaczynało, że syn na imieniny ojca się spóźnia.

Śniadanie się skończyło; porozchodzili się jedni gromadkami po dwu salonach, inni poszli do pokojów stryja, na cygara i fajki, a my młodzi czepiliśmy się stryjecznych, ciotecznych i wujecznych siostrzyczek, bo obce panny dopiero wieczorem nadjechać miały.

Nagle powstał jakiś zamęt; ktoś wszedł do salonu i coś po cichu powiedział najbliższemu, ten podał dalej; zaczęto się skupiać, pytać coraz głośniej, aż po wszystkich pokojach przebiegł wyraz:

— Nieszczęście!

— Co? jak?

— Pojedynek.

— Jaki, kto, z kim? pytają ci, co jeszcze nie słyszeli.

— Ależ Wacek z panem Sylwestrem z Kozic.

— Święty Boże! a to piękne imieniny ma biedny Karol!

Wszyscy się rozbiegają, szukają stryja. Był w swoim pokoju, blady, przerażony. Przy nim był mój brat i najbliżsi; w progu stał jeszcze posłaniec, co list przywiózł. „Pan Wacław leży ranny w pojedynku z panem Sylwestrem z Kozic; doktor jest; powiada, żeby się nie bać nic, bo dobrze będzie, to też niech Jaśnie Pan się nie boi. Onufrego posyłam z tym listem na koniu, a Kaczyńska siedzi przy paniczu — co prawdę powiedziawszy nijako w solenny dzień Jaśnie Pana, ale pan Sylwester ma obcięte uszy i gębe przekrojoną, a nasz pan Wacław to tylko po czuprynie pałaszem dostał, co zaraz czuprynę zgolił w tem miejscu cyrulik z Tyrawy a doktor plaster przyłożył. Doktor dokłada, że będzie dobrze, żeby się nie bać nic". Tak pisał stary Sebastyan, ekonom stryja, zwany Sobusiem, żołnierz z czasów Konstantego.

— No, to niema strachu, zawołano.

— Tak go tam z Kaczyńską i Sobusiem zostawić nie można, chyba pojadę, rzekł stryj.

— A czy to można? odezwał się nie śmiało Onufry, blady, trzęsący się, jakby życie z niego uciekało.

— Co ty gadasz? dlaczego nie można — rzekł stryj i przypatrzył się uważnie Onufremu.

— A tobie co się stało? hej! Onufry, tyś chory;

— Ej, nie, jeno mi jakoś ckliwo i coś mi się mroczy.

— Wina! prędzej! Janie, dawaj starego wina. Onufry wlał w siebie duży kielich wiwatowy i ożywił się. Stryj mu podsunął krzesło.

— Siadaj bratku, spocznij. Co? lepiej ci?

— Dziękować Bogu i łasce pańskiej, to mi już nie tak mroczno.

— A no, gadaj no, co wiesz.

— To tam jaśnie panie nijak nie przejedzie, zawiało strasznie, a wilki na działach, pod lasem. Zadymka złapała mnie za folwarkiem we wąwozie. Jak sypnęło śniegiem, to odrazu bułanemu było do pasa. Rany Boskie! krzyknąłem, co to będzie. Bułany się szamota, wygrzebuje, rozwala śnieg łbem i piersiami, a tu huknął drugi wicher, okręcił słupem śniegu, nieprzymierzając, niby kościelna wieża i zwalił ten słup na nas. Pociemniało mi w oczach, alem się ocknął i rozciągam ręce ponad głową. Rozbiłem dziurę w śniegu. Puszysty, jak na ponowie, toć mnie nie przygniótł. Wydrapałem się na grzbiet bułanka, chwyciłem za gałąź sosny i wylazłem z wąwozu na dział. We trzy pacierze dognałem do dworu i zaraz narobiłem krzyku, żeby ludzie pognali bułanka odgrzebać. A no zaraz pan rządca poszedł z ludźmi. Bułanemu może nic nie będzie, śnieg rzadki; to szczęście, a ja mu odgarnąłem śnieg ze łba; nozdrze ma na wierzchu, byle go wilki nie dopadły, bo wyją po lesie.

— A co tam we dworze? nie wiesz jak to było?

— Ano proszę Jaśnie Pana tyle, co się panowie do Zawadki zjechali i tam potłukli, a pana Wacława przywieźli do domu, ale panicz rezolutny i rozmowny, choć doktor leżeć mu kazał. Ale mnie się widzi, co nijakiej choroby z tego nie będzie, bo się wrony do dworu nie zleciały.

Pokrzepiony Onufry poszedł się ogrzać i posilić; Stryja uspakajano, ale nie mógł odzyskać humoru, czemu się też nikt nie dziwił i dziwić nie mógł. Sąsiedzi zabierali się do odjazdu, ale stryj zaklinał, by nie zważano na niego, bawiono się, jakby nic nie zaszło. Stryjenka wypłakała się, pomodliła rzewnie, gorąco i nabrała otuchy, bo głęboka wiara ukoiła ją i napełniła pogodną ufnością w opiekę Bożą.

Gdy się wszyscy rozgwarzyli nanowo i rozsypali po domu, mój brat szepnął mi do ucha, że zaraz pojedzie do Wacka. Kochał go bardzo, nie tylko jako brata stryjecznego, ale jako rówieśnika i przyjaciela, więc pragnął go widzieć, a także stryja uspokoić.

— Ja pojadę z tobą — szepnąłem.

— Nie wezmę cię. Słyszałeś co Onufry opowiadał. Droga niebezpieczna.

— A skoro niebezpieczna dla mnie, to i dla ciebie; jedną pojedziemy.

— Gdyby ci się co stało, jabym to odchorował, a może nie przeżył. A coby ojciec na to powiedział, żem dziecko narażał.

— A coby ojciec na to powiedział, żem brata opuścił? Cóż ty myślisz, żem ja ułomek. Starczę ci do pomocy za chłopa.

Targowałem się na zabój, aż brat ustąpił. Wzięliśmy małe sanki na włókach i zaprzęgli w jednego konia. Koń był nasz, ogier siwy, na miarę rysaka; zwał się Mohort, na pamiątkę, że to pochodził podobno z owej Mohortowej stadniny, co potem przeszła na własność księcia Romana w Sławucie. Furmana nie było co brać, bo nawet byłby się nie zmieścił na malutkich saneczkach; mój brat sam miał powozić.

Wyjechaliśmy cichaczem, żeby nas stryj nie zatrzymał. Pogoda piękna, cicho; księżyc wesoło uśmiechał się do śniegu, a śnieg do niego, mróz zaczął przybierać i już dobrze trzeszczał. (D. c. n.)

Stary gaduła.

Margrabia Wielopolski.

(Ciąg dalszy).

Myśl ta właściwie nie była oryginalnym wytworem białych; był to tylko odgłos pewnego kierunku doktryn Towarzystwa demokratycznego, któremu przyznać należy inicyatywę we wszystkiem, co tylko znakomitego i wydatnego zdziałali Polacy po roku 1831.

Jeszcze przed 1840 rokiem demokraci wyznawali, „że tak jak niegdyś zadaniem Słowian była obrona chrześcijańskiej cywilizacyi od najazdu i poniżającego podboju azyatyckiego barbarzyństwa, tak też obecnie ciż sami Słowianie są powołani do zaszczepienia zachodniej cywilizacyi w tym barbarzyńskim Wschodzie, odpłacając największem dobrem za niezliczone klęski przez się doświadczone; a jednocześnie dążąc siłą i żywotnością swego młodzieńczego ducha do odrodzenia starej, rozkładającej się, wyczerpanej wiekowymi wysiłkami Europy. Jednem słowem, Słowiańszczyzna jest przeznaczoną do objęcia z kolei przodownictwa i kierunku przyszłymi losami ludzkości. Z natury rzeczy zaś w Słowiańszczyźnie przewódcą tego nowego, zbawczego świata, z ducha ubiegłych, obecnych i przyszłych przeznaczeń, ma być Polska — nikt inny tylko Polacy.

Czy i o ile Wielopolski podzielał te poglądy i przekonania, nie wiemy. Wiemy jednak, że coś podobnego zawsze zawierało się w zasadach stronnictwa, do którego należał. „Polacy podbici przez Rosyę, mogą... stanąć nawet na czele młodzieńczej, pełnej sił i życia cywilizacyi słowiańskiej, ze wspólnym Polski, Rosyi i całej Słowiańszczyzny pożytkiem". Temi zasadami przyjęty, przybył on w 1849 roku do obozu Rüdigera i jak zapewniają, miał radzić, by Rosya powołała wszystkich Słowian do broni i zjednoczyła ich pod swym protektoratem. W maju zaś 1852 roku, gdy się już zanosiło na wojnę z Turcyą i na scenę znów występował protektorat rosyjski nad Słowianami, margrabia oddał swego starszego syna Zygmunta do wojska, do Smoleńskiego pułku ułanów, wprawdzie podówczas przeważnie zapełnionego przez Polaków. W czerwcu 1861 roku na sześć szwadronów, z których pułk się składał, pięcioma dowodzili Polacy. Dowódca pułku, jego adjutant i kasyer pułkowy byli Polacy, korpus zaś oficerów składało siedmnastu Polaków, siedmiu Niemców i Rosyan. Gdy zaczęto mówić o zbliżającem się powstaniu, ci ostatni umówili się między sobą, że gdyby Polacy okazali chociażby najmniejsze pokuszenie zdrady, to ich napadną i rozniosą na szablach, a nim naczelne władze coś postanowią, zastąpią ich roztropniejszymi podoficerami. — (Udzielone przez jednego z oficerów Rosyan, tego pułku).

Jako człowiek przedewszystkiem praktyczny, margrabia wszakże mimo wiszącej wojennej burzy, nie spuszczał z oka i swych dawnych, pokojowych zamiarów, zajmujących go kiedyś wspólnie z jego przyjacielem Świdzińskim, a których z różnych powodów dotychczas nie mogli urzeczywistnić. Wiele wody od tego czasu upłynęło. Świdziński zestarzał się, osowiał, zobojętniał na wszystko, nawet dla losów ojczyzny. Wielopolski postanowił przypomnieć mu przeszłość i polecił Zygmuntowi, konsystującemu wówczas z pułkiem na Ukrainie, by odwiedził i przypomniał się dogorywającemu starcowi. Świdziński nadzwyczaj się ucieszył z tych odwiedzin, a mówiąc o ojcu i ostatniem swem z nim spotkaniu, rozruszał się i ożywił. Między starymi przyjaciółmi znów się zawiązała częsta korespondencya, wznowiły dawne układy co do urządzenia jakiegoś naukowego ogniska dla pracujących na polu umiejętności w Polsce. Naturalnie, że teraz, gdy Kraków zostawał pod zaborem austryackim, punkt ten nie nadawał się do roli, jaką mu w myśli swej nadawali przed dwudziestu laty przyjaciele. Nie znamy szczegółów prowadzonych układów, lecz stało się, że Świdziński postanowił przyłączyć bibliotekę i wszystkie swe zbiory do ordynacyi Myszkowskiej. Mogła na to wpłynąć i idea Wielopolskiego, że teraz stolicą Polaków są dwory wiejskie... „życie wiejskie ostatnią ostoją, wsie ich jedyną ojczyzną". Testamentem więc, sporządzonym w ostatniej prawie chwili życia, w 1855 roku, zapisał margrabiemu Aleksandrowi cały swój majątek, kapitały, bibliotekę, zbiory zabytków i starożytności wraz z Sułgostowem, gdzie te zbiory dotychczas były umieszczone, nadając Wielopolskiemu prawo przeniesienia tych, dokąd uzna za najodpowiedniejsze dla ułatwienia korzystania z nich współrodakom. Dla usunięcia wszelkich pod tym względem wątpliwości, przywodzimy w dosłownym odpisie dotyczący ustęp testamentu:

„§ 3. Wyżej wymienioną sumę 36.100 r. sr. jakoteż bibliotekę, gabinet numizmatyczny, obrazy, rysunki, rzeźby, stare dokumenta, rękopisma i inne bibliograficzne i archeologiczne rzadkości nie z nich nie wykluczając, ocenione przezemnie na 30.000 r. sr., a także klucz Sułgostowski, dziś w mojem rzeczywistem władaniu pozostający i według sumienia na sumę 45.000 r. sr. oszacowany.

zapisuję i wieczyście daruję Aleksandrowi synowi Józefa, margrabiemu Myszkowskiemu, hrabiemu Wielopolskiemu i jego potomkom, na pełną i nieograniczoną własność. Przytem żądaniem jest mojem, i legataryusza usilnie o to proszę, aby kupił lub wybudował odpowiedni dla pomieszczenia księgozbioru i połączonych z nim zbiorów dom, bądź w zapisanym mu przezemnie majątku Sulgostowie, bądź w Warszawie, lub gdzie to za dogodniejsze lub stosowniejsze dla spełnienia moich zamiarów uzna".

Wielopolski z różnych względów zatrzymał bibliotekę i wszystkie zbiory na miejscu w Sulgostowie. Niechętna mu opinia natychmiast zarzuciła mu złamanie i niedotrzymanie warunków testamentu, którego *notabene* nikt z oskarżających dokładnie nie znał. Dowodzono, że Świdziński zapisał Wielopolskiemu swe zbiory z wyraźnem zastrzeżeniem umieszczenia ich w Warszawie. Nikt ani nie pomyślał o dopuszczeniu możliwości, że między przyjaciółmi oprócz testamentu, czyli dokumentu na piśmie, mogły być umówione warunki, im tylko dwom znane. Nawet w samym zapisie były słowa i wyrażenia, których ukryte znaczenie nie dla każdego mogło być zrozumiałe. Któż mógł wytłumaczyć, jakie Świdziński miał cele i zamiary? Rozumiał to jeden Wielopolski. Prawda, że są pewne wskazówki, że Świdziński nosił się z myślą pomieszczenia tych zbiorów w Warszawie, lecz Wielopolski stale mu to odradzał, przytaczając różne smutne przeprawy, które spotykały zbiory polskich historycznych pamiątek. Wskazywał na zabór biblioteki Załuskich i przewiezienie jej do Petersburga, jakby jakich wojennych trofeów po ostatecznym podziale Polski 1795 roku; wskazywał na zabraną tamże bibliotekę i zbiory Towarzystwa przyjaciół nauk po 1831 roku, na zrabowaną bibliotekę Puławską książąt Czartoryskich, o ile nie udało się uwieźć co przedniejszych i rzadszych rzeczy za granicę. Portrety królów polskich z królewskiego zamku w Warszawie powędrowały do moskiewskiej orużejnej pałaty. Gobeliny z pałacu Krasińskich znalazły się w Gatczynie. Wszystkiego, co uległo takiemuż losowi, nie da się wyliczyć!

I dlatego Wielopolski, nim nie wyszukał dla nich odpowiedniego umieszczenia, nie ruszał zbiorów swego przyjaciela ze wsi. On kombinował i uwzględniał różne okoliczności... a tymczasem dnie i tygodnie upływały, i niechętni margrabiemu nie ustawali w zaczepkach. Historyk Julian Bartoszewicz w 1857 roku ogłosił drukiem, że istnieje jakoby list Świdzińskiego, w którym wyraźnie wkłada obowiązek na Wielopolskiego, by ten kupił lub wybudował w Warszawie odpowiedni gmach na pomieszczenie zbiorów. — W drugim zaś miejscu powiada: „Konstanty Świdziński zrobił jeden z największych zapisów, które utwierdzą pamięć jego w sercach całego narodu. Świdziński żądał, ażeby zakład stanął w Warszawie, zapis biblioteki Wielopolskiemu jest tylko formą. Tytuł własności i nadzór nad zbiorami, jaki wypływa z tego tytułu, należą do Wielopolskich, zbiory zaś same są własnością publiczną."

Tak mówił i sądził historyk, który miał w ręku testament Świdzińskiego, cóż dziwnego, że ogół, nie znający wcale testamentu, toż samo powtarzał.

Na domiar nieprzyjemności, wskutek amnestyi z 1856 r. zjawili się, jakby z drugiego świata, dwaj bracia nieboszczyka, emigranci, roszcząc sobie prawa do Sulgostowa. Powoływali się oni w swym pozwie na tak zwaną substytucyę testamentarną, na wyrażenie: „i jego potomkom„, które w myśl § 896 kodeksu Napoleona, pozbawiało testament mocy prawnej. Przy ogólnie wrogiem usposobieniu opinii publicznej dla margrabiego, wyrok w Radomiu wypadł na niekorzyść Wielopolskiego, lecz w odwołaniu apelacyjnem, wyrok ten w Warszawie wszelką łatwością został zniesiony, gdyż sprawa margrabiego była jasna i słuszna.

(Dok. nast.)

Nasze ryciny.

Niemal równocześnie z pojawieniem się w prasie europejskiej wcale niewesołych wieści o rzekomem zachwianiu Trójprzymierza przez Włochy, odbyły się uroczystości Tulońskie, na których flota włoska bratała się z marynarką wojenną francuskiej republiki. Serdeczności było aż zadużo, zawsze jednak mniej, jak za pamiętnych wizyt floty rosyjskiej. Książę Genui, dowodzący flotą włoską przyjmował na statku wojennym „Lepanto" prezydenta rzeczypospolitej Loubeta, który rozmawiał z wszystkiemi oficerami eskadry i każdemu podał rękę. Z rozmowy, jaką Loubet prowadził z księciem Genui warto przytoczyć ustęp, traktujący o znaczeniu takich wizyt, jaką właśnie oddała flota włoska fllocie francuskiej. Mówiono o postępach sztuki wojennej. „Wielką odpowiedzialność — rzekł Loubet — wziąłby na siebie każdy, ktoby obecnie wywołał wojnę". Książę Genui przyznał przezydentowi racyę, dodając: „Sądzę, że takie wizyty jak obecna, wytwarzają większą serdeczność w stosunkach międzynarodowych". Ks. Genui otrzymał wielki krzyż legii honorowej.

Z Tulonu zboczył prezydent Loubet do Nizzy, gdzie udał się na grób Gambetty. Jest on bardzo skromny a leży na wyniosłości du Chateau, skąd rozpościera się wspaniały widok na morze Śródziemne. Prezydentowi przedstawiono tam siostrę zmarłego męża stanu, panią Serisovą. Na Grobie złożył Loubet wspaniałe wieńce z kwiatów.

Sensacyą dnia przed niedawnym czasem było zamianowanie przez cesarza nowych członków Izby panów. Zostało nimi pięciu Niemców, dwóch Czechów (Jarosław Vrchlicky i Antoni Dworzak) oraz jeden Polak (Dr. Stanisław Smolka, profesor wszechnicy Jagielońskiej w Krakowie). W numerze dzisiejszym możemy podać czytelnikom portret Jarosława Vrchlicke'go, znakomitego poety i profesora uniwersytetu praskiego. Właściwe nazwisko nowego para Austryi brzmi: „dr. Emil Frida". Vrchlicki jest autorem wielu arcydzieł poetyckiej twórczości i wielkim przyjacielem Polakow. Fakt, że przez jednego prof. Smolki nikt z polskich przedstawicieli literatury i sztuki nie wszedł do Izby panów, wywołał w kraju pewną konsternacyę. Uznając kulturny rozwój pobratymczego narodu czeskiego nie możemy wszakże nie stwierdzić faktu, że literatura i sztuka polska zasługuje na odznaczenie, co najmniej w równym stopniu z czeską.

„Żandarm Europy" hr. Waldersee, jadąc do Chin na rzezie i ohydne gwałty, spełniane niby to w imieniu europejskiej kultury, wziął ze sobą prócz starego munduru ofiarowanego mu w dowód łaski przez cesarza Wilhelma, domek asbestowy, zabezpieczający niby to przed wilgocią i ogniem. Był on składany (naturalnie domek, nie hr. Waldersee) z wielu części: w przeciągu $2\frac{1}{2}$ godzin można go było rozebrać, a złożenie trwało 8 godzin. Hr. Waldersee obiecywał sobie po tym domku wiele wygód i bezpieczeństwa. Tymczasem — o zawistny losie! — kucharz hrabiego nie zgasił widać porządnie ognia, przy którym gotowały się smakołyki i asbestowy, ogniotrwały domek stał się pastwą płomieni! Sam hrabia zaledwie zdołał ujść z życiem przez okno. Przypadek ten daje chlubne świadectwo sumienności niemieckich fabrykantów. Warto też wspomnieć, że hr. Waldersee telegrafując do żony o wypadku nie omieszkał dodać „straciłem w pożarze całe mienie". To mienie składało się zapewne w $\frac{9}{10}$ z tego co hr. Waldersee złupił na Chińczykach, bo żołnierz nie potrzebuje chyba wlec ze sobą mebli stylowych, dywanów i sreber. Iście pruskiej trzeba czelności aby w ten sposób ubolewać nad stratą tego, co się poprostu zrabowało i ukradło. Prócz „ogniotrwałego" domku spaliła się w pożarze część pałacu cesarskiego. W płomieniach zginął jenerał pruski Schwarzhoff. Zrazu miano dlań ogólne współczucie, w miarę jednak jak bliższe szczegóły wypadku poczęły wychodzić na jaw, ubolewanie zaczęło się zmiejszać. Pokazało się bowiem, że Schwarzhoff bawił się do późna w tak wesołem towarzystwie, iż wracając do mieszkania około drugiej w nocy, nie spostrzegł pożaru (!!) i wszedł prosto w płomienie!

Na ostatnim konsystorzu zamianował Ojciec św. Leon XIII kilku nowych kardynałów, między innymi ks. Biskupa krakowskiego, kniazia Jana z Kozielska Puzynę i arcybiskupa praskiego barona Leona Skbrenskiego. Wręczenie czapeczki czerwonej, zwanej „zucchetto" obu nowym dostojnikom kościoła odbyło się w Pradze 18. b. m. w Krakowie zaś 21. b. m. Do br. Skrbenskiego został wydelegowany jako kurjer z „zuccheto" hr. Salimei, gwardzista papieski. Księciu Biskupowi Puzynie przywiózł czerwoną piuskę drugi hr. Salimei. We czwartek odbyło się w Budapeszcie uroczyste nałożenie przez cesarza kapeluszy kardynalskich obu nowym dostojnikom w obecności ablegatów papieskich. Obaj ablegaci, jak niemniej gwardziści otrzymali ordery. Ryciny zamieszczone w dzisiejszym numerze, przedstawiają prócz portretu ks. kardynała Puzyny, scenę wręczenia „zucchetto" arcybiskupowi Skrbenskiemu przez hr. Salimei, oraz kapitułę oczekującą wraz z arcybiskupem na przybycie wysłańca Ojca św.

»PSUBRATY«.

Powieść na tle stosunków współczesnych.

CZĘŚĆ DRUGA

(Ciąg dalszy).

Sędzia Towarski kaszlnął przeraźliwie, poczem zwróciwszy czarne szkła swoich okularów w stronę Froscha, rzekł:

— Władza w Tryeście pozwoliła nam korzystać z pańskiej pomocy. Obecny tutaj pan Finländer oświadczył gotowość pomagania nam również we wszystkiem stosownie do otrzymanych od nas wskazówek. Pan Finländer jest jednak człowiekiem prywatnym, a my za mało go znamy, aby mu we wszystkiem ufać. Dlatego też głównem pańskiem zadaniem będzie kierować każdym krokiem pana Finländera, kontrolować jego czynności i stanowić łącznik pomiędzy nim a nami, my bowiem wcale z nim bezpośrednio stykać się nie możemy. Pan Finländer będzie miał za zadanie wejść w porozumienie ze swoją byłą żoną i pod grozą oddania jej w nasze ręce, wydrzeć od niej jej tajemnicę. Idzie o wydostanie owego testamentu Simchy Bukszpana i stwierdzenie ile pieniędzy ze sprzeniewierzonych sum zdołała zdobyć kiężna Czarotyńska i gdzie się te pieniądze znajdują, kto jest jej wspólnikiem i kogo używała za narzędzie. Wskazówki dostarczone przez pana Finländera będziesz pan się starał w porozumieniu z p. komisarzem Sreniawą wykorzystać w interesie śledztwa i zresztą działać ściśle według poleceń pana komisarza, który jest pańskim bezpośrednim przełożonym.

. . . .

Tego samego dnia, w godzinach popołudniowych pan Finländer dzwonił do mieszkania książąt Czarotyńskich; służąca, której chciał oddać kartę wizytową nie zdążyła jej odebrać, bo we drzwiach do przedpokoju stanęła księżna, bledsza jak zwykle, z oczami płonącemi jakimś gorączkowym ogniem.

Przed kilkoma godzinami otrzymała już list Finländera, który krótko zawiadamiał ją, że bawi we Lwowie, że przypadkowo dowiedział się nie bez zdumienia o jej powtórnem zamążpójściu i że koniecznie w jej własnym interesie życzy sobie sam na sam z nią porozmawiać. List kończył się zawiadomieniem, że jeśli księżna listownie nie wyznaczy innej godziny, w takim razie zechce się przygotować na czwartą popołudniu do przyjęcia swego pierwszego męża.

Odpowiedzi nie było, Finländer czuł się więc upoważnionym do złożenia wizyty — i istotnie był oczekiwany.

Księżna wskazała przybywającemu swój buduar, położony w innym końcu mieszkania i w ślad za nim szła krokiem leniwym, ociężałym. Kiedy znaleźli się sami, rzuciła się na fotel i ukryła twarz w dłoniach.

Przez chwilę była cisza. Przerwał ją naprzód Finländer, który wyciągając papierośnicę, rzekł:

— Czy pozwolisz mi zapalić?

Nie było odpowiedzi. Finländer wyjął papierosa i zapaliwszy go, jął cedzić przez zęby:

— Siedząc w więzieniu, nieraz myślałem o tem, jakie będzie nasze pierwsze przywitanie. Mniemałem, że będzie cokolwiek serdeczniejsze. Mniejsza o to; wiesz, że nie jestem sentymentalny, jakkolwiek byłem do ciebie dość przywiązany. Byłem, powtarzam — bo to już na szczęście minęło. Świadomość, że tobie tylko zawdzięczam, iż zostałem kryminalistą, nauczyła mnie ciebie nienawidzieć. I dlatego postanowiłem nie przyjąć warunków, które dobroć twoja wspaniałomyślnie mi ofiarowywała.

Izabella podniosła głowę i utkwiła w mówiącym wzrok, teraz już wygasły, jakby senny. Finländer po krótkiej przerwie mówił dalej:

— Wiesz, że ja od dłuższego czasu przed mojem aresztowaniem przestałem się zajmować rzemiosłem, do którego mnie przez jakiś czas używał Simche Bukszpan. Nie mówiłem tobie o tem, ale już w sekrecie przygotowałem wszystko, aby utworzyć w Rio-de-Janeiro solidny dom bankowy, na którymby można było robić interesa, nie stawiające mnie w tak bezpośrednią styczność z kryminałem. Właśnie ukończyłem już wszystko, aby rozpocząć interes; chciałem ci zrobić niespodziankę, skoro tylko wylądujemy w Ameryce. Jechałem do Udine ze swobodną głową, zupełnie szczęśliwy, że nie trzeba będzie już odtąd chować się przed tajną policyą i co rano budzić się z tą myślą, że wieczorem może się będzie już zasypiać na pryczy więziennej! Czekałem na ciebie niecierpliwie; niestety, zamiast ciebie, zobaczyłem z przerażeniem Arona Goldknopfa, razem z towarzystwem zwerbowanego przez ciebie towaru.

Na ustach Izabelli zaigrał pogardliwy, ironiczny uśmiech. W oczach zjawiło się ożywienie, które jednak zwolna zamieniło się znowu w bezmyślną zadumę.

— Między transportowanymi była jedna, która Aronowi stawiała zacięty opór. Przestrzegałem cię zawsze przed zwabianiem klienteli zapomocą podstępu; miałem przeczucie, że to ściągnie nieszczęście na nas, to jest na mnie — bo tobie przyniosło to tylko szczęście... Oporna uciekła z pod opieki Arona i wezwała policyę; byliśmy zgubieni. W godzinę potem uwięziono nas na dworcu, w chwili, gdy chcieliśmy ratować się ucieczką... Miałaś tego samego dnia przyjechać; byłem pewny, że nazajutrz zobaczę cię przy konfrontacyi w biurze sędziego śledczego...

— Dla tem większej pewności powiedziałeś odrazu sędziemu, że ty jesteś tylko ofiarą, a ja złym twoim duchem i jedyną winowajczynią.

Finländer wzruszył ramionami i otrząsnął popiół z papierosa:

— Ja mówiłem tylko prawdę... Kiedy matka Arona przywiozła ciebie do Buenos Aires ja miałem zaledwie ośmnaście lat.

(C. d. n.)

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: **Kazimierz Ehrenberg.**